

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 6 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rychny mód kwartał. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

KRÓL DZIADÓW.

III.

Romantyczny młodzieniec.

(Ciąg dalszy).

Powierzchnowość Eugeniusza była uderzająca; prócz niezwykłej bowiem urody, twarz jego promieniła się wyrazem dziwnej jakiejś szlachetności i wyższości. Wyższość tę, spoczywającą na wysokiem czole, strzelającą z oczu, pełnych wewnętrznego ognia, każdy patrzący od razu przyznać musiał. Mianowicie w spojrzeniu jego ciemnych oczu przebijało się natchnienie, które zdawało się go unosić po nad ziemię.

I tak było w istocie. Dziwne było to usposobienie Eugeniusza, zupełnie nieodpowiednie całej prozie życia, jaka go otaczała, i jaka przemawiała do niego ze zwykłych stosunków czasu, w którym żył, i stanu w jakim się urodził. W tym względzie przypominał matkę trochę, do której mimo wielkiej urody obojga zupełnie nie był podobny. Żadnego rysu nie mieli wspólnego, zaczawszy od oczów i włosów, które u matki były jasne, a ciemne u syna, a skończywszy na zaokrągleniu twarzy i białości lica. Pani Zofia miała pleć przeźroczystą jasnej blondynki i zaokrąglenie twarzy czystego typu słowiańskiego, Eugeniusz zaś śniadą lica białością, i owalną twarz zaokrągleniem zdawał się przedstawiać typ ras wschodnich.

Lecz i podobieństwo usposobień było pozorne tylko. Oboje mieli popęd do życia idealnego, w obojgu duszy mieszkala poezja; ale u matki poetyczność ta była cicha, słodka, w mgle marzeń niknąca, gdy tymczasem u syna usposobienie to poetyczne, burzą może krwi młodej spotęgowane, podniosło się do exaltacji, do entuzjazmu, parło się ku czynom jakiegoś życia niezwykłego, życia burzy i awantur. Każde uczucie wewnętrzne, gdy wybijało do oczu matki pojawiało się chmurne, mgliste, póki deszczem łez nie ściekło. W oczach młodego Eugeniusza uczucie każde wybiegało chmurą, ale chmurą gromami ciężarną, i odzywało się łyskawicą spojrzeń zapalczywych. To też kto znał bliżej Eugeniusza, łatwo przewidzieć mógł, że pierwsze mocniejsze uczucie, gdy się w nim roz-

budzi, wywołać morze burzę niezwykłą, i pełnie go do objawów życia, wyskakującego po za obręby dzisiejszych stosunków, któremi nie da się skrepić.

Lecz zkąd przyszedł do usposobienia tak wyjątkowo romantycznego? A zkąd przychodzi słowik do swego głosu, pełnego cudnej harmonii, zkąd się rodzi w piersi chłopaka lub dziewczyny jakaś iskra ledwie dojrzana, która tam padła Bóg wie zkąd, i Bóg wie jak rozdmuchana, zaświeci światu zdumionemu pochodnią jenuisza. Jest to tajemnica dla nas niezbadana, której klucz spoczywa w ręku opatrności. Wychowanie Eugeniusza nie było po temu zupełnie, by się wedle zwykłego naszego pojęcia mogła w nim rozbudzić ta iskra romantyczna. O ojcu już nawet wspomnieć nie warto, bo ten mało co mieszał się do syna, a jeżeli kiedy przemawiał do niego, to słowami sobie właściwymi, słowami próżnej, jak pęcherz nadętej pychy. I dziwna rzecz! od lat najmłodszych Eugeniusz mało ważył zawsze te wszystkie heraldyczne wiadomości, które ojciec jego cenił najwięcej.

Najwięcej zajmowali się nim matka i stryj. Po matce zapewne najprędzej spodziewać by się można, że rozbudziła w nim to poetyczne usposobienie; lecz ona swoją miłością czułą zdolna była tylko rozpieścić, rozmiękczyć, rozkwilić syna. Jako matka najpierwej dostrzegła w nim to usposobienie i bojąc się jego gwałtowności, walczyła naprzeciw niemu całą siłą swojego przywiązania matczynego i miękkich uczuć swoich. Lecz nadaremnie!..

Ani też od stryja nabyć to mógł, czego sam stryj nie miał w sobie, i czemu był najwięcej przeciwny. Stryj jako wojskowy lubił porządek we wszystkim, i starał się synowca nagiąć ku temu koniecznie. Używał wszelkich środków, dobrych i złych. Nadaremnie!..

Eugeniusz wszystko pojął, wszystkiego się nauczył, ale po swojemu, bez wszelkiego porządku; raz przypadkiem, raz drugi naumyślnie, najczęściej natchnieniem, które rozbudziło jedno słowo, jeden ton zasłyszany, jeden rys, który silnie uderzył w duszę młodzieńca.

Dziwny też był jego stosunek do całej rodziny. Dla ojca był jakby cudzy; zimny i obojętny na pozór, bał się nawet zastanawiać nad własnymi uczuciami, bo te graniczyły o pogardę prawie...

Dla matki był nadzwyczaj czuły, uprzedzający, gotów nawet do wielkich dla niej poświęceń. Jej smutne i czułe spojrzenia wzruszały go; i chętnieby w ogień skoczył, byle jej jedną łzę oszczędzić, może by nawet życie swoje oddał, więcej może przez obowiązek synowski, który bardzo wysoko cenił, niżeli przez miłość. On czuł nawet litość dla jej miękkiego usposobienia, które ledwie mógł zrozumieć.

Najwięcej może przywiązania miał dla stryja, który jeden mu imponował, nie tyle powagą osobistą, ile przebytem życiem wojennem, o którym major jak każdy wiarus rad rozmawiał.

Wojny napoleońskie ze swojemi cudami biegały nieraz po rozpalonej dorostka głowie, przybierając na się postać na pół bajeczną, która go nęciła i najdziwniejsze na przyszłość rozbudzała myśli. Major tedy w jego wyobrażeniu był typem niejako owej wielkiej epoki. Szanował w nim silny charakter, który odgadł pierwiej instynktem, nim poznał za pomocą rozumowania.

Lecz silniejszą nad te wszystkie względne tylko uczucia jego była w nim pamiątka z lat dziecinnych jeszcze pozostała. Była to pamiątka mamki. I była to rzeczywiście pamiątka serca tylko, bo gdy ją stracił nagle z oczów, był w wieku, z którego mało zostaje zupełnych wyobrażeń. A nieraz zdało mu się we śnie, nieraz gdy zamarzył na jawie, że mu świeci nad czołem dwoje czarnych, promienistych oczu, tak jak mu zaświeciły, gdy po raz ostatni przyszła mamka odwiedzić ukochane dziecko, własnem mlekiem wykarmione. Przyszła, jak to nieraz pierwiej uczyniła, przyszła i już więcej nie wróciła. Jaka była przyczyna jej zniknięcia, nigdy dobrze Eugeniusz nie wiedział, i nie pytał nawet o to. Ale byłby przysiągł, że dziś by jeszcze mógł pokazać to miejsce na czole, dotknięte jej silnym i gorącym pocałunkiem; a czy te, uczuciem gorejące, tęskne bólem czy smutkiem, dziwnem uczuciem padały mu aż na serce. I zdało mu się, że przypomina sobie ulamki jakichś bajek przez nią rozpowiadanych, i przesuwały mu się po przed oczy rozmaite z nich zarysy, jakiegoś gusła i zabobony prostego ludu naszego, między którymi najżywiej drżały oczy urocze, oczy mamczyne. Gdy już z dziecka wyrósł, długie były nad tem debaty, czy oddać go do szkół, czy w domu wychowywać. Graf Ignacy był za tem naturalnie, aby potomek rodu tak szlachetnego w domu pozostał i nie poniewierał się w tłumie gorzej urodzonych kolegów. Matka pociągała za tem także przez przywiązanie dla jedynaka i bojaźń, by przy jego burzliwym usposobieniu nie stało mu się co złego. Lecz major przemógł, tego będąc przekonania, że na usposobienie zbyt exaltowane młodego chłopca najzbawienniejsze być może wczesne wdrożenie się w koleje życia codziennego.

Nie wiele to wszakże pomogło, bo w początkowych zaraz szkołach, które w małym miasteczku odbywał, mały chłopiec stał się środkowym punktem odrębnego zupełnie życia, które sam z własnego utworzył kaprysu. Nie podobna było nagiąć go do zwykłego trybu, ani groźbą, ani prośbą, ani darami, ani karami. W szkole siedział cicho i słuchał, ale ledwie wyskoczył ze szkoły, a za nim cały tłum chłopaków, którzy go słuchali jak wyrocznię, stawał się wodzem wypraw najrozmaitszych. Nieraz darmo wszystkie matki do późnej nocy czekały na chłopaków swoich; oni wybiegli za geniuszem, jak go nazywali, i daleko za miastem albo wojenne odbywali wyprawy na dzikie tłuścze, przez krzaki i szuwary nadbrzeżne przedstawiane, albo wyprawiali łowy szalone za dzikim zwierzem, na czem najsmutniej wychodziły spokojne na błoniach pasące się trzody, albo znowu puszczali się w jakieś dalekie podróże, szukając dziwnych awantur, przyczem każda kałuża była morzem, a sterczące na niej grudy wyspą, a gaik za miastem okropnym borem, zamieszkałym przez wilkołaki, wyszczerzające się ku nim z każdego suchego pniaka. Z tem wszystkim ani nauczyciele ani rodzice wałęsających się za nim chłopaków nie mogli się długo gniewać na niego, bo przebaczały mu dla jego serca pocziwego, którym wiedziony, nieraz głodnemu oddał własne jadlo, lub obdarte mu surducik z siebie.

Z wiekiem nie ubywało mu romantycznej fantazji; nabierała ona pewnych, wybitniejszych celów, w których zawsze przebiegało się dążenie szlachetne, aż do exaltacji posunięte. Życie koleżeńskie uporządkował on wedle pewnych przepisów, poetyzowanych bują jego wyobraźnią. Z koleżeństwa utworzył rodzaj braterstwa, gotowego na wszelkie poświęcenia się jednego dla wszystkich i wszystkich dla jednego. Jakkolwiek w życiu studenckim wiele jest jeszcze żywiołów poetycznych, im starsi są uczniowie, tem więcej obejmuje ich proza życia, którą niezawsze udało się Eugeniuszowi nagiąć do swoich wyobrażeń. Ztąd powstawały nieraz wypadki na polu komiczne, na polu tragiczne. Najślawniejszym było wydarzenie jedno, które wielki dało rozgłos Eugeniusza excentryczności, jak zaczynało już nazywać jego usposobienie. Z całej szkoły wypędził on wpływem swoim różnicę stanów. Szlachetność osobista była u niego szlachectwem, z którego jak z tytułu spadkowego drwił nielitościwie. Owoż między kolegami jego był młody baron jakiś, syn zamożnych rodziców, pocziwy bardzo chłopak, poddający się chętnie przewadze Eugeniusza, ale uparty na punkcie swego baronostwa, które wysoce cenił. Pomiedzy rzeczami, które najwięcej oburzały młodego Wyżyńskiego, najniezawistniejszym był mu zbytek w ogóle, a w szczególności zbytek w stroju. Po minawszy inne względy, wycodził on z tego stanowiska, że uboższych kolegów, których wielu było w miasteczku, boleśnie razić musi ta różnica w ubiorze.

Na walnem zgromadzeniu przeprowadził tedy ten wyrok, aby się wszyscy ubierali jednostajnie, i to jak najtaniej. A że to było w lecie, udecydowano, aby posprawić sobie suknie z prostej wreciny, krojem czamarkowym. Był to czas, w którym czamarki znakomitą odgrywały rolę. Wyrok został spełniony prędzej czy później, stosownie do możliwości każdego osobistej. Baron, który lubił się stroić, najdłużej się temu opierał; niemiał nic naprzeciw czamarki, ale wrecina oburzała jego smak arystokratyczny. Napomniany wszakże kilkakroć, ustąpił, i dawszy na to słowo, w niedzielę przyszedł na mszę studencką w wrecianej czamarce, lecz chcąc choć w czemkolwiek dogodzić swoim o strojności wyobrażeniom, dodał czamarce podszewkę jedwabną, amarantową. Eugeniusz obruszył się na to, a za nim drudzy. Zmiana w przepisany stroju uznana została karygodną. Nazajutrz w szkole napadli go hurmem wszyscy, krzycząc szyderczo:

— Baron! baron!... chce się od nas odróżniać!...

— A więc baron! i cóż z tego, zakrzyknął chłopak zapyrzony.

— Na ławkę z nim!... zawołał Eugeniusz.

— Na ławkę!... powtórzyli drudzy.

I biedny baron schwycony znalazł się na ławce, ale nie twarzą do góry. I przychodzili jeden po drugim i krzyczeli nad nim:

— Wyrzekasz się baronostwa?

Baronostwo i jaskrawa podszewka stanowiły w tej chwili jedno i to samo.

— Nie wyrzekam się! krzyczał młody zawzięty baron. Każdy przechodzący exorcyzmował go silnym placikiem, chcąc jak twierdzili, wypędzić z niego barona.

Uparty chłopiec zaciął się i krzyczał ciągle:

— Jestem baronem i baronem zostanę.

Szkoda było tyle charakteru na taką sprawę, bo nim nadszedł nauczyciel, młody baron niepospolicie ucierpiał w pewnej na punkcie baronostwa najniewinniejszej części ciała.

Sprawa ta narobiła wiele wrzawy, bo starzy baronostwo strasznie wzięli do serca zniewagę synowi wyrażoną.

Rodzice odebrali Eugeniusza co prędzej ze szkoły i po wakacjach odesłali do stolicy.

Młodzieńcem na uniwersytecie nie zmienił się Eugeniusz. Pojawy tylko jego exaltowanej natury zmieniły się z wiekiem i postępem w naukach. Pelen zawsze szlachetności i prawości, o której miał utopieczne zawsze wyobrażenia, wprowadzał je rozmaitemi sposobami pomiędzy kolegów, za co zyskał pomiędzy starymi perukami nazwę niespokojnej głowy; mniej się już rzucał na excentryczne wybryki, ale za to rzucił się z całym zapałem na pole pięknej literatury i po nim gonili za ideałem piękna. Smutna to gonitwa jeżeli się w niej młodzieniec nie powstrzyma, bo goniąc po puszczech otaczającej go prozy,

ze złudzenia, z odczarowań w odczarowania przechodząc, kończy najczęściej szaleństwem, suchotami lub samobójstwem. Szukać ideału na tej smutnej ziemi naszej, los to Ixonia, ściskającego mgłę miasto bogini, który na końcu w odplat prozaiczny, wiecznie jedną skałę pchać musi pod wiecznie jedną górę. Iluż to takich Ixionów zdybać można codziennie; miasto bogini porwali w ręce jeżeli nie mgłę, to gorsze od niej błoto i z wysokości swych marzeń wpadli między akta kancelaryjne, przykuci do taczki codziennie pełnej.

W takim stanie był tedy nasz młody Eugeniusz, gdy skończywszy kurs filozofii wrócił do rodzinnego domu, gdzie już miał pozostać. Ideału tego nie znalazł jeszcze, lecz go szukał zawsze, przekonany, że tylko ludzie słabe go ducha wracają z tak szczytnej drogi. Jaka ma być istota tego ideału, sam by zapewne nie umiał wytłomaczyć; bo przy całej poetyczności swojej i właśnie dla niej może, zachował on nieskazitelną czystość i niewinność uczuć i myśli. Nigdy jeszcze nie kochał, chociaż żąda miłości wrzała w nim i zajmowała całą duszę jego niewymowną tęsknotą do czegoś, czego nie umiał nazwać, a czego pragnął z całym zapałem młodości i poezji.

Od kilku wszakże dni zaszła w nim dziwna jakaś odmiana. Nie mógł siedzieć na miejscu; ciągle prawie na koniu uganiał po obszernej płaszczyźnie, oczy jego jeszcze były ognistsze, a na ustach igrał uśmiech pełen dziwnego uroku, uśmiech natchnienia!

I w takim usposobieniu wszedł właśnie do salonu Wyżnieckiego, gdzie jak wiemy odbywało się angielskie śniadanie. Ojciec, jak na zimnego dyplomata przystało, niczego w nim nie dostrzegł, ale matka i stryj spojrzeli na niego uważniej. Co się z nim stało, nie pojęli, ale wydał im się w tej chwili tak piękny jak nigdy. Lekkim krokiem przyskoczył do siedzących; ojca przywitał poważnie, ramię dotknawszy ustami, na ręce matki złożył pocałunek tak gorący, tak przeciągły, że aż serce matki zadrzało radośnie. Majora objął za szyję i przycisnął najserdeczniej.

— Zadusisz chłopcze! zawołał major i marsowa twarz jego uśmiechnęła się wyrazem niewieściej prawie czułości. Gdzieżeś uganiał tak długo?...

— Czekamy na ciebie mój Genciu!... musisz być głodny?...

— Nie mam! odrzekł syn. Zasiedziałem się w ogrodzie. Dopiero po śniadaniu wybieram się na koniu.

Głos jego odpowiadał powierzchowności, pelen był niepospolitego dźwięku. Była w nim harmonia tej poezji, która przepełniała duszę jego.

— Byle nie na siwym!.. on taki dziki!.. przemówiła matka z niespokojnością na twarzy.

— Ja go sam dla niego ujeżdżałem, rzekł major z wyrazem słodkim.

Słodycz ta wyrazu zastępowała tym razem wyrzut, którego uczynić nie chciał. I tak to rozumiała pani Zofia, bo rzuciła ku niemu spojrzenie tak czule, przeprasza-
jące, że aż wąsa dla kontenansu podkreślić musiał nasz major.

— Słuchaj no Eugeniuszu! zaczął ojciec z miną poważną i głosem uroczystym, jakby miał wygłosić wyrocznie jaką.

Taki to już był zwyczaj exdyplomaty, i taki bywa zwykle zwyczaj wszystkich ludzi z prózną głową i próżnem sercem, którzy mniemają, że te dwie próżnie zasłonią jeszcze większą próżnią, nadętością głosu i miny.

— Matka twoja, mówił dalej pan graf, maczając w herbacie przypieczoną grzankę chleba, życzy sobie, abyś odwiedził państwa.. tych tam.. Krajkowskich w Niżyńcach, którzy zapraszają nas na jakiś tam balik, czy imieniny...

— Wszak przypominasz sobie ciocię Henrykę...

— Jakżeż nie! i Adasia, który zemną był w szko-
łach, i Binie, i Lincie, i... jak mamę kocham już zapom-
niałem, jak się jeszcze nazywają...

— I mnie się to trafia, przerwał major dobrodusz-
nie. Liczną mają rodzinę...

— Mniejsza o to! zagadł ojciec sentencyonalnie. Jest tam ostatnie jakieś kuzynstwo z matką twojej matki... A człowiek dobrze urodzony nie powinien zapo-
minąć o powinowatych, chociażby ich los niżej od nas po-
stał, jakkolwiek bliższe stosunki z ludźmi tego rodzaju niekoniecznie są przyjemne.

— Ależ mój ojciec!... zawołał syn z pewną gwał-
townością.

C. d. n.

POSELKA.

Mam gołąbka w domu,
Z białemi skrzydłami,
Nie powiem nikomu,
Poszłę go z wieściami.

Jego lot nie strudzi,
Nie będzie spoczywać,
Dałbym wieść przez ludzi,
Będą rozgadywać.

On rychło uleci
I wróci wesoly,
Cyt, — jak słońce świeci,
Lecą trzy sokoły.

Kogoż poszłę, kogo?
Gołąbka się boje,
Sokoły go mogą
Rozszarpać na troje.

Ale wiem co zrobię,
Piosnka wieść zaniesie;

Zanóć o tobie,
Kochaneczko w lesie.

Rzewnemi tonami,
Lecz zamilczę miana;
Pieśń wielu ustami,
Będzie powtarzana.

O kim ta piosenka,
Nie pomyślą sobie,
I w niej do okienka,
Wieść zaniosą tobie.

Mieczysław R...

NOWE DZIEŁA.

Nowa podróż na około ziemi odbyta na fregacie Ermancyi
przez

Dr. Antoniego Zanowicza.

Opowiedział Dr. T. Tripplin.

(Ciąg dalszy).

Żegnają się wreszcie; Zanowicz odjeżdża. Tu już romantyczność opowiadania bierze górę. Opuszczający ko-
chanek patrzy w nocy przez okno kajuty i widzi jakiś
czarny punkcik na morzu. Punkcik ten zwiększa się; to
jakiś człowiek płynie. Już jest tuż koło okrętu, podnosi
głowę; to Talaja! Przeplłynęła ogromną przestrzeń morza,
aby raz jeszcze widzieć kochanka, uściskać go i co prę-
dziej wrócić. Już jest koło okrętu i rozmawia z kochan-
kiem, gdy nagle oboje postrzegają rekiną, goniącego za
piękną Indjanką. Niebezpieczeństwo jest tak bliskie i okro-
pne, że ledwie miał ją czas porwać i przez okno wcią-
gnąć do kajuty. Rekin skoczył za nią; ledwie Zanowicz
potrafił zamknąć przed nim okienice. Przestraszona i prze-
ziębnięta Talaja zasypia, a gdy okręt w przejeździe zbli-
ży się do brzegów natenczas wysadzi ją Zanowicz na ląd.
Inaczej wszakże losy rozrządziły. Nagle okręt zmienia
kierunek zupełnie i oddala się od brzegu. Talaja nie może
się już wrócić; zostaje na okręcie, ale jakże tu zachować
tajemnicę, bez której obejść nie może. Zanowicz zwierza
się Alfonsowi Delaize, który Talai daje swój mundur mid-
szypański. Talaja wychodzi w nocy tylko, tajemnica za-
chowuje się doskonale. Odłożywszy tęsknotę za ojcem,
Talaja szczęśliwa, bo w towarzystwie kochanka, od które-
go z dziwną pojętnością korzysta tak co do umysłu, jak
i co do uczuć. Indjanka coraz więcej europejskich nabie-
ra pojęć.

Szczegółów podróży dalszych nie wiele. Przybijają
do Nowej Kaledonii, w której dziś założona jest kolonia
karna. Klimat jest morderczy, a wyspiarze skłonni do
pożerania ludzi. Mieszkańcy wyspy rasy murzyńskiej nie
lubią kobiet, to też kobiety są nadzwyczaj cnotliwe. Od-

bywa się wyprawa na wyspę Lambert, w której wyspiarze pożarli przed kilką właśnie dniami trzech tłustych holenderczyków z rozbitego okrętu jakiegoś. Wystrzeliliwszy masę murzynów, przyprowadza Alfons, który główną w tej wyprawie odgrywał rolę, jakiegoś księcia Zeelandzkiego, który wyratował się także z rozbitego okrętu. Książę ten jest bardzo przystojny choć malowany na twarzy, mówi wcale nie źle po francusku, i wszystkim się podobał, mianowicie w mundurze midsipmańskim, pożyczonym mu przez Alfonsa. Jest to bajeczka wszakże tylko. Tym księciem Zeelandzkim jest Talaja, która tym sposobem urzędownie już znajduje się na okręcie.

Płyną dalej. Przybijają do brzegów Australii, o której p. Zanowicz daje nam krótkie rysy, znane po większej części o kontraście z Europą, i o niektórych zwierzętach tam się znajdujących. Przybywają do wyspy Bourbon, o której podróżnik tyle tylko wspomina, by nam powiedzieć o śmiesznych tam pojęciach co do różnicy mieszkańców czarnych i białych. Kto tylko ma najmniejszą kropkę krwi murzyńskiej już jest czarnym, chociaż nieraz w drugim lub trzecim pokoleniu bielszym jest od białego europejczyka.

Są dalej niektóre szczegóły o Madagaskarze. Najwięcej dla nas zajmującym jest wspomnienie króla Madagaskaru, Maurycego Igo, który rządził przy końcu wieku minionego; był nim bowiem Maurycy Beniowski, szlachcic polski, w Węgrzech wychowany, który w bitwie z Francuzami d. 25. maja 1776 r. śmiertelnie rannym został, i w dziewięć dni umarł. Pamięć jego dotąd przez lud tamtejszy szanowana; testament zaś jego chowają jak świętość jaką. Lud w Madagaskarze przyszedł już zupełnie do wiedzy sił swoich. Zrzucił też jarzmo protektoratu angielskiego i francuskiego i sam się rządzi doskonale. Król Radama III. jest królem szczerze konstytucyjnym. Ciekawy także jest szczegółik o Antonim Straszewskim, który był przy Beniowskim ministrem, a potem po jego śmierci przeniósł się do kraju, został rewizorem policyi, umarł w r. 1822 i pochowany został w Czerniakowie.

Szczególnym także zwyczajem w Madagaskarze jest próba truciźnie której poddać się musi każdy Madagaskarczyk, kiedy zawiera śluby małżeńskie, lub kiedy jest oskarżony o zbrodnię. Oskarżonemu lub nowożeńcowi jeżeli chce dowieść że jest niewinnym, *Ampanangiu* czyli kat rozbija *orzechy Tanginsu* i daje wypić sok z nich. Trucizna wnet skutkuje i okropne sprawia bole, kto się w czasie bólów do winy przyzna ten umiera; kto się zaś nie przyzna ten uznany za niewinnego, bole ustają, ale co więcej jest on już przez całe życie bezpiecznym od zabójczych gorączek. Przy endemicznych gorączkach Tangin jest tem czem krowianka przy ospie. Ludzie słabi na ducha i na ciele umierają podczas tej próby, zdaje się zatem że ten Tangin eluży więcej na wytepienie niedołągów,

jak na ukaranie zbrodniarzy. Król Radama wypędził Europejczyków, przyczem wydał wyrok, że ci tylko mogą zostać się, którzy się poddadzą próbie Tanginu.

A gdy jeden z komisarzy wyraził zadziwienie swoje, że miał odwagę domagać się spełnienia warunku tak barbarzyńskiego, król odpowiedział:

— Miałem tę odwagę i nie wstydę się bynajmniej. My umiemy nadać Tanginowi wielki roznm. I nigdy się nie trafiło by Tangin zabił dobrego lub zdolnego człowieka. Tangin nie jest tak ślepym jak się panom zdaje, umie on wybierać ofiary swoje; my umiemy nadawać truciznę władzę mądrości, porozumiewamy się z sędzią, z Ampananginem i z głosem ludu.

Pan Zanowicz mnóstwo ciekawości botanicznych i anatomicznych pozbiierał w tej wyspie, nadzwyczaj bogatej co do świata roślinnego i zwierzęcego. Pomiedzy innemi miał i żywego krokodyla, który włóczył się po pokładzie z założonym na paszczkę groźną mocnym żelaznym kagańcem, łaził z kąta w kąt, a rzewnemi zalewał się łzami, że nikogo zjeść nie mógł. Miał także pan Zanowicz ogromnego i ślicznego boa, który w szczególnej żył przyjaźni z ogromnym ptakiem, Emu zwanym, tak wielkim jak struś prawie. Na noc przyłaził wąż do klatki ptaka, i kładł się na noc pod kudłaty brzuch ptaka, który się umyślnie rozczepierzał i jak kura siedząca na jajach ogrzewał węża. Nieraz w dzień gdy boa szukając ciepła, zawiesił się na maszcie lub drabinie okrętowej, stęskniony Emu żałośnym przywoływał go krzykiem. Przyjaźń ta bawiła majtków nadzwyczajnie, naprowadza ich na rozmyślenia filozoficzne:

— Patrzcie! mówią, jak się kochają wąż z ptakiem, a my ludzie skoro się zdybiemy z Anglikiem zaraz się z nim czubimy, jak pies z kotem.

Przy tej sposobności robi podróżnik czy autor uwagę, że żałuje mocno iż tej szczególnej przyjaźni nie mógł być świadkiem nasz ziomek pan Pietruski, sławny jak wielki naturalista.

Robiąc po wyspie naukowe wycieczki pan Zanowicz, wychodził coś podobnie do owego astronoma co to wiedział co się dzieje na świecie, a nie wiedział co się w własnym jego świecie domu. Talaja coraz była smutniejszą, i namiętnie oddawała się czytaniu romansów, mianowicie pani Sand, które jej indyjską główkę zawracać zaczynały. Z rozmaitych rozmów jakie w dalszej podróży mieli kochankowie ze sobą, zdaje się pokazywać, że Alfons coraz częściej pogląda i przemawia do Indjanki, i że niewinna Talaja niewiedząc sama o tem, czuje także jakiś pociąg do młodego i ładnego oficera. Niby kocha zawsze pocziwego i zajętego zawsze to wężami, to ptakami lekarza, nawet mu z lekka wymawia, że ją jakoś zaniedbuje i nie pilnuje tego nowego stosunku, ale i do Alfonsa odzywa się w jej sercu jakaś sympatja. Jednem słowem, Talaja wychodzi

trochę na bohaterkę powieści francuskiej, walczącą z jakimś nie zbyt naturalnem prawdziwie europejskiem uczuciem podwójnem.

(C. d. n.)

IRLANDSCY PATRYOCI na wygnaniu.

W północnej Ameryce, w nowym Jorku, wyszło w r. 1854 dzieło w angielskim języku Johna Mitchell, w którym opisuje pięć lat swej niewoli angielskiej (or five years in british prisons) a przytem ciekawe podaje szczegóły o wygnańcach irlandzkich.

Wypadki z lutego roku 1848 pobudziły Mitchella i jego zwolenników do czynności. *Unitet Irishmen* odzywał się coraz gwałtowniej. Działania ich nie uszły baczości rządu angielskiego: w kwietniu roku 1848 wniósł Sir George Grey w parlamencie bil o najwyższej zbrodni stanu. Bil ten, przyjęty przez parlament, opiewał, iż ktoby podniósł sztandar buntu przeciw królowej, lub wzbrańał się uznać ją jako władczynię Irlandyi, lub podburzał innych drogą prasy lub słowa, aby jej nie uznawali, stanie się winnym najwyższej zbrodni stanu i poniesie przeznaczone na to kary. W skutek tego bilu, pochwycono trzech naczelników: Smith O'Briena, Meaghera i Mitchella. Dwaj pierwsi, stawieni przed przysięgłych, zostali uniewinnieni; Mitchell zaś został skazany na 14 lat deportacyi. Dnia 27. Maja 1848 roku wywieziono Mitchella z Dublina na Spike-Island, więzienia leżącego w porcie miasta Cork. Pozwoliwszy się mu pożegnać z żoną i dwojgiem dzieci, okuto go w kajdany i zaprowadzono na parowiec *Sherwater*. Komendant statku, kapitan Hall, przyjął go grzecznie, kazał mu zdjąć kajdany i oddał, po przybyciu na Spike-Island, w ręce komendanta Grace. Tutaj dano mu ubiór więzienny i wsadzono na okręt wojenny *Seourge*, który go miał zawieść na Bermudy. Mitchell sieje przekleństwa na Anglią, wiarołomną Kartaginę XIX wieku i czeka w cichości serca, co O'Brien, Dillon, O'Gorman, Martin, Reilly, pozostali w Irlandyi, zrobią we wspólnie rozpoczętem dziele. Wprawdzie wtedy, kiedy Mitchell jeszcze tak marzył, nadszedł już miesiąc Lipiec, wybuch w Clennel był już zgnieciony a wszyscy jego przyjaciele w więzieniu lub na drodze do Ameryki, lecz nie przerywajmy ciągu opowiadania. Przybywszy do Bermudy, kraju dzikiego, pustego, nie wyszedł Mitchell wcale na ląd: przeniósł się tylko z okrętu *Seourge* na ponton okrętu *Dromadary*. Jednostajność życia morskiego, okrętowego, nie przestała nurzyć od 6 miesięcy żywej wyobraźni biednego Irlandczyka. Zresztą spotykał się i pod względem towarzyskim tylko z samymi *convicts* (skazanymi), tylko z osobistościami, które poprzednio z londyń-

skim *Leader* (Gazette des tribunaux angielska) głośno figurowały. Nie od rzeczy przytoczyć dosłownie ustęp, charakteryzujący niezgorzej życie towarzyskie na Bermudach. Wkrótce po swem przybyciu na te wyspy, odebrał Mitchell wizytę człowieka 45-letniego może, dobrej tuszy, pewnej miny, z którym następny odbył dialog: — „Jeżeli mogę dla pana cośkolwiek uczynić, byłbym bardzo szczęśliwym. Jestem Garrett. — Garrett, odpowiedziałem; jaki Garrett? — Garrett panie, Garrett. Powinienbyś pan mnie znać dobrze; moja sprawa była rozpowszechnioną przez wszystkie dzienniki; Garrett, wiesz pan? — Niesłyszałem nigdy o panu. — Oh! panie, powinienbyś dobrze znać całą tę sprawę, ową wielką sprawę kolei żelaznej, przypominasz sobie pan? — Nic, najzupełniej. — Dobrze więc; otóż ja, który jestem p. Garrett, byłem urzędnikiem kolei żelaznej (zapomniałem której;) zrealizowałem tam interes na 40,000 f. szt., 40,000 funtów panie! Zostawiłem je odjeżdżając pani Garrett; żyje ona sobie w Anglii bardzo przyzwoicie. Tutaj jestem już dwa lata i podoba mi się wcale. Są tu brunetki diabelnie piękne, panie. Jestem tu bardzo uważany. Zrobiłem wielkie wrażenie, gdy przybyłem. W rzeczywistości, do pańskiego przybycia byłem uważany za największego człowieka w kolonii, 40,000 funtów, panie, ani żdźbła mniej; lecz teraz zakasowałeś mnie pan zupełnie. — Wstałem i skłoniłem się. Przygnębiająca myśl, że mogłem zakasować złodzieja 40,000 funtów szterlingów, była dla mnie zbyt wielkim ciężarem. Dla tego też rzekłem, kłaniając się grzecznie: — O! panie, czynisz mi zbyt wiele zaszczytu. Jestem pewien, żeś pan daleko godniejszym niż ja tego zaszczytnego stanowiska, ponieważ nie widziałem nigdy tyle pieniędzy na raz. — Mój drogi panie, odpowiedział mi, Pan jesteś więźniem politycznym, i t. d., lecz i z mojej małej sprawy robią sprawę polityczną. Lord John Russell, po przybyciu mem tutaj, kazał mi powiedzieć prywatnie, iż zgodzi się na zupełne darowanie mi kary, jeślibym mu odkrył moją metodę, to jest sposób, w jaki się postarałem o te pieniądze. Chcieliby się zabezpieczyć na przyszłość przeciw podobnym wypadkom. — Pan rozumiesz? — Spodziewam się, panie, rzekłem, kłaniając się z uszanowaniem, że pan sobie z żądaniem tego człowieka tak postąpiłeś, jak na to zasługiwało. — Niedowiarek mrugnął okiem. Spróbowałem i ja mrugnąć okiem, lecz gdy mi się to nieudało, skłoniłem się na nowo. — Możesz pan być pewny, odpowiedział mi, że sobie z nich wszystkich nie złe żartuję. Podoba mi się tu bardzo; nie nudziłem się ani przez jeden dzień. Jeżdżę często na jedną z najbliższych wysp, aby odwiedzać *kacząt* doktora Beck. Ah! panie, są tam na tej wyspie dwie czy trzy dziewczyny, które są rzeczywiście bardzo piękne; potem koresponduję niekiedy z dziennikami. Mam szczególne środki, aby sobie kazać przysyłać wszystko to co mnie interesuje i to tak, iż o tem nic nie

nie wiedzą. Będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością, panie, kazać ci sprowadzić tą drogą wszystko, czego byś potrzebował. Nie, p. Garrecie odpowiedziałem, znudzony na końcu; daj mi pokój. Stary grzesznik zdawał się trochę zmieszany i wyszedł też natychmiast, a ponieważ prosiłem doktora Hill, aby się postarał na przyszłość o środki, o któreby mnie od podobnych odwiedzin uwolniły, nie widziałem go już więcej.

Tymczasem klęski posypały się jak z rogu obfitości na Irlandją. Wszyscy przyjaciele, znajomi, zwolennicy Mitchella, znajdowali się w ręku władz angielskich, dotknięci wyrokami śmierci lub wygnania. Meagher, Martin, Duffy, O'Dohersy i Williams siedzieli już w więzieniach. Nieudane powstanie w Tipperary dostarczyło nowych ofiar, między którymi nazwiska Smith O'Briena, O'Donoghue, Mac Manusa, O'Gormana, O'Reilly i O'Doheny, spotykamy. Wiadomości te, wraz z zabójczą działalnością klimatu Bermudów, nie wpłynęły zbyt korzystnie na delikatne, słabych nerwów zdrowie Mitchella. Po długich tedy targach z pocziwym doktorem angielskim, a nade wszystko z wyobrażeniami o swej osobistej godności i swem stanowisku, skłonił się nareszcie Mitchell prosić rząd angielskiego o przeniesienie w zdrowszą jaką okolicę. Rząd pospieszył ze skwapliwością zadosyć uczynić tej prośbie, a w Kwietniu r. 1849 wiozł już statek *Neptun* Mitchella na miejsce nowego przeznaczenia, którym był przykład dobrej nadziei. Pobyt wszakże jego tutaj nie miał trwać długo, a co więcej, nie przyjsz nawet wcale do skutku. Kolonja na przykładu dobrej nadziei zbuntowała się i postanowiła nie przyjmować przysełanych jej rok rocznie przez Anglią zbrodniarzy. Na *Neptunie* zaś było ich tylko 300. Mitchell, jako nieprzyjaciel Anglii, nie mógł nie słuchać bez wewnętrznego zadowolenia wrzawy srożącego się zdala buntu, który na widok nadpływającego *Neptuna* (we Wrześniu 1849) całą kolonją wstrząsnął. Napróżno przyszła deputacja Capstadtu, zapewniając Mitchella, że co się jego tyczy, kolonja z ochotą go przyjmie. Mitchell odparł stoicznie, że nie wolno dla jednej osoby łamać pięknej zasady, a w gruncie serca życzył powodzenia powstaniu i cieszył się z kłopotu Anglii.

Komendant *Neptuna*, Sir Harry Smith, znalazł się w trudnem położeniu. Niemogąc się pozbyć swego nieśczęsnego ładunku, a nie wiedząc, co z nim dalej począć, zarzucił w porcie kotwicę i postanowił w obliczu wrogiego sobie Capstadtu, czekać zażądanych z Londynu instrukcyj. Tymczasem rosła na całym przykładu w przerażający sposób agitacja przeciw *convicts* (skazanym) i ich więzieniu *Neptunowi*, mnożyły się z dnia na dzień nieprzyjazne demonstracje.

D. n.

Rozmaitość.

* **O Gramatyce języka staropolskiego.** Pan Henryk Suchcki, nauczyciel w gimnazjum polskiem we Lwowie, gramatyki języka polskiego autor, którego prace, zalecone od c. k. ministerstwa oświecenia do użytku w szkołach galicyjskich, od r. 1848 w kilku wydaniach w kraju są znane, wykończył właśnie z polecenia złożonej od rządu do układania wypisów z piśmiennictwa polskiego dla gimnazji galicyjskich komisji, której jest członkiem: **«Zarys gramatyki języka staropolskiego.»** Nakład tego dzieła, przeznaczonego i aprobowanego już od c. k. ministerstwa oświecenia do użytku w wyższych klasach gimnazji krajowych, wzięt na siebie rząd, a druk rozpocząć się ma w krótkce aby jak najprędzej ułatwić nauczycielom wykład, a uczniom naukę form języka staropolskiego, którego wyjątki z najdawniejszych pomników piśmiennictwa polskiego młodzież gimnazjalna ma już pod ręką. Autor badał najstarsze pomniki piśmiennictwa naszego, jak: *Bogarodzica, Psalterz Matgorzaty, Przekłady statutów wiślickich i mazowieckich, Księżeczka do nabożeństwa Nawojki* (vulgo mylnie ś. Jadwigi,) *zabytki jakie ogłosił Maciejowski w swoich pamiętnikach i piśmiennictwie, kronika Chwałczewskiego* itp. niepomijając starych form języka, jakie się znajdują rzadziej już rozrzucone po dziełach pisarzy z późniejszych stuleć. Oparwszy swe dociekania na porównaniu polszczyzny owych wieków z językiem starosłowiańskim i staroczeskim, o ile to z ciasnym zakresem nauki gimnazjalnej pogodzić się dało, potwierdził wywoły przytoczeniami z pomników polskich. Całość ułożona w system gramatyczny, wedle danej autorowi od c. k. ministerstwa oświecenia informacji.

Nietylko ciekawość każdego polaka, dowiedzieć się, jak też mówili nasi przodkowie w czasach najświetniejszej potęgi za Kazimierza W., za Jadwigi i Jagielonów, nie tylko, mówim, sama ciekawość zaspokojona, ale obeznanie młodzieży krajowej z historycznym rozwojem języka polskiego, co celem najważniejszym, skłania nas zwrócić uwagę publiczności na wdzięczność jakąś my winni zacząć autorowi i Jego Ekscell. ministrowi hr. Thunowi, którego skuteczne usiłowania dźwignięcia instrukcyi publicznej w cesarstwie austriackiem naukom taki nadały kierunek, że i język polski publicznie w szkole rozbieganym i uprawianym być musi w historycznym jego przebiegu, a spodziewamy się że i katedra języka polskiego i literatury przy uniwersytecie lwowskim po kilkuletniem opróżnieniu wreszcie obsadzoną będzie.

Dodać jeszcze musimy, że pomieniona gramatyka jest tylko zarysem krótkim obszerniejszej tego rodzaju pracy, dzieła na większe rozmiary napisanego, które tylko nakładcy oczekuje.

* Z powodu wygnania z wyspy Jersey francuskich emigrantów, między którymi jest jak wiadomo Wiktor Hugo, sławny poeta, twórca tylu pysznych trajedyi i dramatów, rozpowiadają następujące o nim zdarzenie. Wiktor Hugo i Alexander Dumas byli raz przed rokiem 1848 na obiedzie u księcia Decazes, wielkiego referendarza izby parów. Po obiedzie gdy wszyscy wyszli do innego pokoju na herbatę, obaj literaci rozmawiali z sobą w kącie. W towarzystwie było wiele znakomitości owoczesnych, pomiędzy innemi lord Palmerston, dzisiejszy minister angielski z żoną. Przybył on na obiad tak późno, że gospodarz niemiał już czasu przedstawić mu poetów przed obiadem, a po obiedzie zapomniał zapewne. Dosyć że ci panowie nie będąc przedstawionemi, nie mogli rozmawiać z lordem, wedle praw etykiety ściśle jak wiemy przez anglików zachowywanej. Raptem zbliżył się do nich gospodarz i prosi w imieniu lorda Palmerston, aby zostawili wolne między sobą krzesła. Gdy to uczynili, Palmerston podawszy rękę żonie, zbliżył się do nich i żonę posadził na wolnem krzesle. «Która godzina?» zapytał żony lord Palmerston. «Dziesiąta i minut 37» odrzekła lady. Pamiętając pani,

że dnia tego, a tego o godzinie 10 i minut 37 siedziałas pani między Wiktorem Hugo i Alexandrem Dumas. Może ci się już więcej w życiu ten zaszczyt nie wydarzy.* Co rzekłszy podał znowu rękę żonie i oboje oddalili się. A dziś jako minister temuż samemu Wiktorowi Hugo podpisał wyrok wyganiania go ze schronienia, jakie sobie w wyspie Jersey wybrał. Dziwne to losu bywają koleje!...

Przyjechali od dnia 9. do 13. Listopada do Lwowa.

PP. Wiśniowski Jan, z Gródka. Braun Henryk, z Krakowa. Krasnopolski Karol, z Krakowa. Małachowski Felix, z Poruby. Małachowski Ludwik, z Rokitna. Langer Wacł., z Drohobycza. Brynicki Marcelli, z Medenic. Kuczabski Dionizy, z Pustomyt. Brzechowski Franciszek, z Radziechowa. Polanowski Xawer, z Rowńi. Hr. Uruski Jan, z Wiednia. Wysocki Kwirin, z Krakowa. Waszkiewicz Teodor, z Biłaki. Tyniecki Erazm, z Wiśniowczyk. Hałakowski Karol, z Karaczynowa. Stanek Józef, z Wiszenki. Leszczyński Jan, z Luczan. Brunicki Albert, z Podhorzec. Mustyanowicz Stefan, z Obłuska. Petrowicz Cyryl z Obłuska. Mołęcki Fel'x, z Wiśłobok. Motella Józef, z Jaworowa. Kotusko Antoni, z Horezowa. Witkowski Tadeusz, z Soroeki. Hr. Alexander Czacki z Krehowa. Bal Jan z Nowosiółki. Osuchowski Andrzej, z Telesnicy. Tscheygeschlof Egar z Krakowa. Perschangoff Begliar, z Krakowa. Kmicikiewicz Jerzy, z Gajów. Rozwadowski Franciszek, z Rudzian. Małęcki Walenty, z Winnik. Pulikowski Julian, z Złoczowa. Stupczyński Franciszek z Romanówki. Hr. Kalinowski Władysław, z Bakowiec. Roman Tytus, z Uścia. Jasiński Józef, z Zabłotowa. Hr. Łoś Włodzimierz, z Dobrzanki.

PP. Sliwiński Wojciech, z Okop. Sozański Wincenty z Grabowca. Majewski Leopold, z Babuchowa. Kubicki Jan, z Budimirza. Hlawatti Jan, z Drohobyczy. Siarczyński Wincenty, z Czernihowa. Krzczunowicz Karol, z Krakowa. Krzczunowicz Jan, z Krakowa. Sochocki Antoni, z Żółkwi. Schadbey Jakób, z Stanisławowa. Czerkawski Józef, z Meryszczowa. Cielecki Alfred, z Krakowa. Okornicki Feliks, z Rozdołu. Czermiński Julian, z Glinisk. Smarzewski Fran., z Kujdaniec. Skrzyński Lud., z Nozdrca.

PP. Wnorowski Jan, z Roji. Matiszewski Antoni, z Borowa. Chomiński Joachim, z Karowa. Spaczek Adolf, z Złoczowa. Köhler Michał, z Bursztyna. Komorowski hr. z Bilinki. Sekowski Alex., z Krakowa. Ulenicki Wincenty, z Przemyśla. Zatorski Maksymilian, z Zażuza. Leimer Ant., z Krakowa. Kabath Alex., z Humnisk. Hr. Łoś Jan, z Dmytrowic. Łuczynski Józ., z Komorowczyszczyny. Borowski Leon, z Korowiec. Baczyński Sabina, z Tarnopola. Pogłowski Dionizy, z Tarnopola. Serwatowski Wojciech, z Boreniowa. Rounge Salomon, z Dmitrowic. Strawiński Marcel, z Sambora. Doliniański Seweryn, br. z Dolinian.

Gorgasch Ferd., z Jagielnicy. Haar Wojciech, z Jagielnicy. Malczewski Stan., z Czernik. Pohorecki Kajet., z Horpina. Kaspro-wicz Maciej z Żółkwi. Dymmet Wład., z Mościsk. Dominkowski Jan, z Łokcia. Uściński Łuk., z Domaszowa. Biliński Hilary z Zarudzian. Wastorg Stanisł., z Brzeżan. Błański Grzegorz, z Uhai owa. Hr. Jabłonowska Franciszka. z Nastasowa. Perret Konst., z Wołkowa. Popiel Michał, z Jaśnisk.

Wyjechali od dnia 9. do 13. Listopada ze Lwowa.

PP. Kowalski Jan, do Uliczka. Dubs Jakób, do Jarosławia. Hałakowski Karol, do Karamczyna. Zborowiecki Jul., do Turzego. Popiel Michał, do Starosoli. Lewicki Hipolit, do Sambora. Szczepański Wład., do Wiśniowczka. Poradowski Felix, do Ostrowa. Hr. Krasicki Edm., do Stratyńa. Strzelecki Bronisł., do Zarwanicy. Gumowski Teofil, do Śniatop. Mosler Laktus, do Karkowy. Chojnowski Leon, do Pałemszczy. Winnicki Tytus, do Liska. Becztabroki Stanisł., do Dzieszczona. Małaszewski Ant., do Uhnowa. Zubs Fe-

licyan, do Żółkwi. Mołski Felix, do Wiśłok. Hr. Kartiglioni do Krakowa. Jej Excel. pani Marini, do Krakowa.

PP. Osmólski Rafał, do Sawczyna. Ziemiałkowski do Żółkwi. Mestoki Aloj., do Krystypola. Gnoiński Alex., do Krasnego. Rojewski Fel., do Leszczanowa. Zacharyasiawicz Mikoł., do Lipowicy. Małachowski Lud., do Rokitny. Żędzianowski Bonif., do Wiszenki. Małachowski Fel., do Jaworowa. Cechaczewski Kał., do Wankowic. Agopsowicz Deodat, do Krymidowa. Wybranowski Roman, do Dźwinogrodu. Orłowski Oktawiusz, do Tłustego. Pukiziacki Ant., do Szezerca. Obniski Wikt. do Żółkwi. Darowski Mieczysław do Rzeszowa.

PP. Wysocki Flor., do Hrehorowa. Grinberg Flor., do Krakowa. Gołaszewski Jakób, do Krzyny. Szymanowski Franc., do Spasowa. Löwenkerr Józ., do Krystynopola. Dobrowolski Kał., do Krehowa. Stanek Józ., do Wiszenki. Hr. Rzewuski Leon, do Przeworska. Listowski Józ., do Jasieniowa. Past Fel., do Brzeżan. Karkowski do Barszczowic. Romaszkan Ant., do Burakowic. Bogdanowicz Józ., do Żółkwi. Zachajkiewicz Józ., do Stryja.

Kurs telegrafowany z Wiednia 12. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 zfr.	113 $\frac{3}{4}$	Pożyczka 5%	74 $\frac{1}{2}$
Hamburg za 100 tal. banco	82 $\frac{1}{2}$	Akcyje banku	947
Londyn za 1 funt szterl.	115 $\frac{1}{2}$	Kolej północna	2045
Medyolan za 300 lirów	112 $\frac{1}{2}$	Obl. ind.	69 $\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków	132 $\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loterya	97 $\frac{1}{2}$
Agio duk. ces.	18 $\frac{3}{4}$	Pożyczka narodowa	78 $\frac{3}{4}$

Wczorajszy

Kurs Lwowski

Gotówka towarem.

	zfr.	5 kr.	11 zfr.	5 kr.	14
Dukat holenderski	5	15	5	18	
Dukat cesarski	9	—	9	4	
Półimperyal zł. rosyjski	1	42	1	43	
Rubel srebrny rosyjski	1	40	1	42	
Talar pruski	1	13	1	15	
Polski kurant i pięciozłotówka	90	15	90	40	
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	68	—	68	30	
Galicyskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	78	15	79	—	

Für 1856 ist

der seines gediegenen Inhalts, wie seiner netten Bilder-Beigaben wegen beachteswerthe

Kalender:

Der Volksbothe

so eben erschienen und für 24 kr. C. M. in allen Buchhandlungen der Monarchie vorrätig, so auch bei

J. Mitkowski

in Lemberg, Stanisławow und Tarnow.

(215 1-3)

SPRZEDAŻ DOBR.

Dobra Bylice w obwodzie Samborskim na trakcie wołowym między Samborem a Przemyśłem leżące, obejmujące pola i łąk przeszło 900 a lasu około 650 morgów. Tarło t. j. stacje i rogatki wołową, stawy, młyny są z wolnej ręki do sprzedania. — Bliższą wiadomość powziąć można za listami frankowanymi w księgarni Imc. Pana Kalenbach we Lwowie.

(201 4-6)